



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

WIELKANOCNE ZARANIE.

Po długiej nocy trwogi i boleści,
Po długiej nocy smutku i tęsknoty,
Ponad Golgotą błysnął promień złoty.
I płacz się ozwał niewieści.

Do Pana swego, złożonego w grobie,
Pójdą—balsamy i wonie przyniosą;
W gorzkiego płaczu rozpacznej żałobie,
Obmyją rany łez rosą.

Urwistą ścieżką, głazami usianą,
Po twardej skale niosą drżące kroki,
Lecz gdy dosięgną do szczytu opoki,
Jak się do Pana dostaną?

Kto im odwali kamień znad mogiły?
Bo któż tam będzie o świtanu słońca?
Tak dwie żałosne do siebie mówiły,
Lecz trzecia—trzecia milcząca....

Biegnie, i łzami srebrnymi zalana,
Tak już przed siebie wyciągnęła ręce,
Jakby po długiej, bolesnej rozłące
Miała objąć nogi Pana!

Lecz nagle wszystka krew niknie jej z twarzy,
Już kroku dalej posunąć nie zdoła,
Bo grób otwarty przed nią, a na straży
Widzi białego anioła....

A gdy od żalu rozpaczego błada,
Zawoła:—Kędyś podział Pana mego?
Duch niebios słodkim głosem odpowiada:
—Nie szukaj w grobie żywego!....

Chrystus twój żyje—tam więc, gdzie jest życie,
Jego ból, walka, ofiara i praca,
Tam wy, co chcecie Go znaleźć—ujrzycie,
Bo tam On z martwych powraca!...

M. I.

SAMOUCTWO.

Teorya literatury.—Psychologia i estetyka, jako nauki pomo-
cnicze.

II 1).

Powiedziałem poprzednio, że dążyć do zazna-
jomienia się z dziejami literatury może, nie-
tylko ten, kto skończył średni zakład naukowy
(ośmio, siedmio, sześć-klassowy), ale nawet i ten,
kto cztery klasy ukończył. Rozumie się, każdy,
kto dłuższy przeciąg czasu odbywał nauki pod
opieką dobrych nauczycieli, łatwiej poradzić so-
bie może z przedmiotem naukowym: ma i obszer-
niejszą wiedzę w ogólności i więcej przywykł do
systematycznej nauki: a przeto, gdy samoistnie
przyjdzie mu pracować, łatwiej ład pewien w tej
pracy zaprowadzi i mniej trudności znajdzie w ro-
zumieniu wielu rzeczy, o których czyta.

Ależ — czybysmy mieli zwątpić, że przed tym,
który nawet średniego zakładu naukowego nie

przebył — już wrota do samoistnego kształcenia
się zamknęte. Bynajmniej? Boć przecież nie daje
rękojmi jeszcze większa liczba lat przebytych
w szkole. Ileż tu zależy od indywidualnej zdolno-
ści ucznia, od pedagogicznego uzdolnienia nauczy-
cieli? Wszak spotykamy ludzi nieraz daleko wię-
cej zaradnych, ba — więcej umiejących, chociaż
nie mogą się poszczycić patentem szkolnym, ani-
żeli ci, co się patentami szczycą.

Zresztą—doświadczenia życiowe znaczą tu bar-
dzo wiele. To też ważną bardzo okolicznością w sa-
modzielnej nauce, na którą należy baczną zwrócić
uwagę, jest to mianowicie, iż daleko większy po-
stęp w samouctwie, szczególnie nad literaturą,
ten osiągnie, kto z większym zapasem doświadczeń
przystępuje, niż ten, kto się do studyów nauko-
wych zbyt wcześnie zabiera.

Życie samo, a raczej przeżycia w życiu, koleje
losu, praca, stosunki z ludźmi — są najlepszymi,
choć nie zawsze pobłażliwymi, łagodnymi mi-
strzami.

Otóż — ten, naszym zdaniem, prędzej da sobie
radę w samouctwie, kto — w innych rzeczach —
przywykł samodzielnie sobie radzić; ten prędzej
pokona jego trudności, kto przywykł do łamania
się z trudnościami; ten więcej odczuje i zrozumie
dzieła literatury, kto niemało już odczuł i zrozu-
miał stosunków życiowych.

Wyjątek stanowić tu będą, jak zawsze i wszę-
dzie — indywidualne szczególne zdolnościami od
natury uposażone.

Po tych uwagach zwrócę się już wprost do
przedmiotu i zastanawiać się będę nad kwestją
przygotowania się do studyów w zakresie naszego
przedmiotu.

Każdy przedmiot naukowy, tak jak każdy „fach“
zresztą — ma pewne odrębne sobie właściwości,
każdy też pewnego specjalnego przygotowania
potrzebuje.

Literatura, przedmiot tak złożony — wymaga
też niemało, chociaż wybieramy tu najgłówniejsze,

najkonieczniejsze tylko nauki przygotowawcze. Do takich należą: stylistyka, retoryka, poetyka. Nauki te, stanowiąc teorią literatury, są przeważnie natury ogólnej. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli kto słuchał tych nauk niekoniecznie z tym celem, aby go one przygotowywały do literatury polskiej, lecz innej, nie zbyt wiele pracy mieć będzie, aby je do polskiej literatury zastosował, ale — w każdym razie — zwrócić winien uwagę i na to, że każdy język, każda literatura ma pewne swoje odrębności, i że on nie powinien lekceważyć tych odrębności. Kto atoli nie zajmował się temi naukami, bezwarunkowo zaznajomić się z niemi powinien.

Stylistyka, retoryka i poetyka — razem wzięte stanowią teorią literatury. Teoria ta według słów prof. Rymarkiewicza „objasnia dzieła według ich gatunku i rodzaju, wykazując zarazem formę” myśli i mowy, z których się składają.

Nie może tu być mojem zadaniem wdawać się w szczegółowe określenia, rozjaśniać zawiłości, jakie pod tym względem istnieją, ani przedstawiać historycznie stanowiska, jakie tym naukom w dziejach pedagogii przeznaczano. Pominę też te szczegóły, odsyłając ciekawego czytelnika do historii pedagogii, lub dykcyonarzy i encyklopedyi, a stając raczej, oile można, na stanowisku praktycznem — postaram się wykazać: co, oile i gdzie ma poznać ten, kto do studyowania literatury chce się przygotować.

Wypowiadając swoje uwagi, nie myślę wcale ubiegać się za oryginalnością. Przeciwnie, obrawszy sobie stanowisko takiego traktowania przedmiotu dla którego wzorów nie znajduję, a czując odpowiedzialność wobec czytelnika — chętnie opierać się będę na wskazówkach i radach poważnych krytyk i prac na tem polu, oile będą one dla mnie dostępne a oile też trafią do mego przekonania.

Zgodzić się chyba trzeba z p. C. de Lostalot (Dictionnaire de Pédagogie), że pięknie piszący mówcy i poeci więcej zrobili dla stylistyki, retoryki i poetyki, niż te dla nich. Rzecz prosta: wprzód musiała istnieć sztuka pisarska, nim z niej powstały, przez obserwacje nad nią czynione — prawa.

Słuszna i to, że bez talentu nie będzie się stylistą, mówcą i poetą, chociażby się najdoskonalej znało teorią literatury. To też nasz Śniadecki powiada: „Człowiek z talentem, z gruntowną nauką, z czuciem delikatnem, ze znajomością świata, prawie żadnych nie potrzebuje przepisów na to, żeby dobrze mówił lub pisał o rzeczy, którą dokładnie pojął i ogarnął. On sobie sam te przepisy wynajdzie, idąc za ośnową swych myśli, za porządnym ruchem imaginacji i czucia; własne jego natchnienie staje się dla niego prawidłem stosowności i właściwości; ostrzega o tem, co się podobą i zadawała, a co nudzi i odraża... Ale jeżeli ludzi nie można nauczyć wymownie pisać, można ich nauczyć pisać porządnie i jasno, i na to jest potrzebną retoryka, zawierająca *zbiór prawideł na poznanie, co jest zaletą lub przywarą w mowach i piśmie*.”

My — tutaj nie mamy na celu przez nauki, o których mowa — uczyć pisać, ale obraliśmy sobie za cel wskazać drogę do tego, aby się nauczyć oceniać to, co jest napisane. I powiemy też to samo, co cytowani przez nas pisarze, iż kto pozna prawa sztuki pisarskiej, a nie ma zdolności krytycznej, delikatnego smaku od natury danego, nie stanie się jeszcze doskonałym krytykiem, — ale też ułatwi sobie w każdym razie drogę ku temu, do pewnego stopnia nauczy się patrzeć na dzieła pisarskie, dowie się, co znawcy cenią, a co nie. Ponieważ zaś i to jest prawdą, że przyrodzone zdolności kształcą się przez prawa, to sądzimy, że warto zaznajomić się z temi prawidłami.

Idzie teraz o to: gdzie tych prawideł szukać w naszym piśmiennictwie?

Muszę tu jeszcze zwrócić uwagę na tę okoliczność, że gdyby chodziło, nie o samouctwo, ale o wykłady uczniom, inaczej-bym daną kwestyą rozwiązał. Powiedziałbym: jaknajmniej bawić się w teoretyczne wykłady, a jaknajwięcej czytać z młodzieżą i z czytania dopiero wydobywać wynikające *istotnie* prawa, i te w pamięci im utrwaląc. Ale, gdzie idzie o samouctwo, tam zasady

tej trzymać się, naturalnie, nie mogą i zmuszony jestem uciekać się do książek, traktujących rzecz teoretycznie.

W r. 1881 Akademia Umiejętności w Krakowie zaważała pedagogów specjalistów, aby, oprócz innych kwestyi, wypowiedzieli swój sąd o książkach do nauczania używanych. Referent działu, o którym obecnie mówimy, prof. Siedlecki wydał zdanie, że w naszej literaturze żadnej książki nie znajduje, któraby wszelkim wymaganiom zadosyć czyniła. Jednakże spośród wszystkich w naszej literaturze, odznacza się Prozaika (stylistyka i retoryka) prof. Jana Rymarkiewicza. Referent pragnie w niej wielu zmian, ale i wiele rzeczy upatruje dobrych i te zaznacza.

Pójdziemy też przeważnie za jego radami i wykażemy chętnie te dobre miejsca, trzymając się trzeciego wydania (r. 1868, Poznań). Wyniknie ztąd, iż niektóre rzeczy, znajdujące się w książce Rymarkiewicza skazane będą na pominięcie. Zastrzegamy jednak, iż nie uważamy ich za zupełnie złe, lub niepotrzebne; ale ponieważ pragnęlibyśmy wskazać te rzeczy, które są najkonieczniejsze, a przytém najjaśniej wyłożone, to, zostawiając dobrej woli i przenikliwości umysłu czytelnika odczytanie całej książki, zaznaczymy przeciw to, co za najlepsze uznajemy.

Do tych należą: Rozdział I. „O brzmieniu mowy”, z podziałami: 1) Rozmaitość dźwięków; od str. 6 do 10 do miejsca: „Są przecież od tej reguły wyjątki”. 2) Zgodność dźwięków; 3) Gładkość brzmienia. Rozdział II: O toku mowy (przypisek 4 na str. 21 i 1 na str. 22, jeźliby sprawiły trudność w zrozumieniu bez wielkiej szkody mogą być pominięte). 1) O rozmaitości toku ważne. Co do paragrafu 2 „O jedności toku” nie uważam za konieczne, lubo nie zaszkodzi przeczytać o stylu peryodycznym, ucinanym, równym, choćby tylko dlatego, że takie określenia stylu często się napotyka. 3) Okrągłość toku. Przypisek 1 na str. 38, można pominąć. Rozdział III z pominięciem ogólników wstępnych, ważnym mi się wydaje, mianowicie § I „Trafność wyrazu” od str. 44 do 61. Co do § II-go „Rozmaitość czyli barwa wyrazu”, warto odczytać, bo przyda się on i do nauki poezyi. § III-ci „Ton czyli nastrój mowy” wydaje mi się zbyt zawiłym, bez odpowiedniego wydatnienia różnic: sądzę więc, że nie wiele ten straci, kto nad nim głowy łamać nie będzie, lubo odczytać nigdy nie zawadzi. Księga II-ga „O myślach” godna jest wystudyowania, chociaż wiele pozostawia do życzenia pod względem wykładu. Księga III-cia; położyłbym główny nacisk na rozdział III-ci „O postaci dzieł indywidualnej”.

Zwrócić tu chciałbym jednak uwagę na sposób czytania, a raczej studyowania, książki Rymarkiewicza. Jest ona ułożona, jak większość naszych podręczników pedagogicznych, niestety, w ten sposób, że wprzód idą uogólnienia a potem szczegóły. Nauczyciel doświadczony przychodzi zawsze ze stosowną radą w tym razie uczącym się; pracującego jednak samodzielnie wypada uprzedzić, aby się nie zrażał wstępnymi paragrafami w każdym rozdziale, ale chociaż będą one dla niego nie dość zrozumiałe, aby czytał dalej. Pomału rozwidniać się będzie w jego umyśle, im więcej do szczegółów będzie docierał. Gdy wszystko o nich wyczyta, niechaj się wróci i wstępny paragraf uogólniający przeczyta, a zrozumie go pewnie.

Przechodzimy teraz do poetyki. Tu znowu kłopot z wyborem, wskazówek w tym względzie nie napotykamy nigdzie. Sądzę jednak, że nie pomylimy się, jeśli za podręcznik weźmiemy Cegielskiego „Naukę poezyi” i Dra Ziemby „Estetykę poezyi”: pierwszą, choćby dlatego, że zaopatrzona jest bogato w przykłady ilustrujące teorię; drugą dlatego, że najnowsza i dość unikająca niejasnych teoretyk. Oba podręczniki wiele pozostawiają do życzenia, ale, że mamy i inne środki radzenia sobie w nabywaniu ogólnych podstaw sztuki, więc też korzystać z nich obiecujemy sobie o tyle, o ile przyniesie mogą korzyści, a nie tyle, ile zapowiadają.

(Dokończenie nastąpi)

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego

(Dalszy ciąg)

Milczano przez czas jakiś, wysłuchawszy Filipa. Emil upierał się przy swoim, że tam tkwiła jakaś tajemnica. Mówiono jeszcze o Rusinowym Dworze; w końcu wesołej pani nudno było o tak posępnych rzeczach rozmawiać i, podrażniony Paczuskiego, wdała się z nim w plotki o Warszawie.

Oboje tak do siebie dobrze przypadali, że całą godzinę, chodząc po saloniku, przegawędzili wesoło.

Nareszcie czas było powracać do miasteczka. Emil począł się pożegnać, ale musiał dać słowo Bończynie, że gdyby w te okolice zabłądził znowu, niezawodnie Brzózki odwiedzi.

Umówili się oprócz tego, że, gdyby pani Bończyna na czas jakiś przybyła do Warszawy — da znać Paczuskemu, który się jej ofiarował do usług.

Słowem rozstali się w jaknajlepszej komitywie, a daleko więcej sobie powiedzieli oczyma i tą mową niemą, jaką, nietylko miłość, ale i miłostki się posługują, niż ustami.

Pani Bończyna była pewną, że trochę mu zawróciła głowę; on nie wątpił, że się jej potrafił podobać.

Nie przywiązywał do tego wagi, ale flirtacya z wdówką była mu przyjemną: można się było tem pochlubić. Bończyna i o tem nie wątpiła, iż do niej zechce powrócić.

Na Paczuskiego jednak wiele rachować nie było można: więcej miał fantazyi, niż serca; zrażał się i zapominał łatwo, pieszczoty mamy czyniły go samolubem, — a marząc o małżeństwie, wymagał bardzo wiele. Miał prawo do tego, bo on sam przynosił w posagu niemało, a na wartości zimnego serca nie łatwo się było poznać.

Drugiego dnia p. Emil powrócił do Warszawy; po trudach tej wyprawy potrzebował wypoczynku, spędził więc dzień następny w szlafroku, w krześle, nie ruszając się z domu.

Pierwszym znajomym, którego potem spotkał, wyszedłszy na ulicę, był, idący z laseczką do ust przytkniętą — Horpiński.

Emil byłby go może pominął, tak był podrażniony a pochwycony niespodzianie, ale Sylwan wprost podszedł ku niemu.

Twarz jego dziwną ironią była napiętnowana, ale razem pogodna i surowa.

— Gdzieś to pan bywał? — spytał, nachodząc na Paczuskiego. — Od kilku dni nigdzie pana spotkać nie było można.

— Szukałeś mnie pan? — mruknął Emil.

— Tak, trochę — uśmiechnął się Horpiński.

— Wiem, że pan jesteś przyjacielem domu Bydgoskich; sądzę, że mu to uczyni przyjemność, gdy oznajmię, że miał list ztamtąd. Panna Maniusa zaręczona z p. Leonem. Jest to fakt!

Paczuski zagryzł usta.

— Sądziłeś pan, że ta wiadomość uczyni mi przyjemność? — podchwycił.

— Przecież życzyś pan im dobrze, a lepszej partyi znaleźć było trudno — rzekł Horpiński — Wątpię, ażebyś pan na prawdę o niej myślał: juściż cenisz nadto swą młodość, abyś się spieszył zbyt pod jarzmo małżeńskie!

To powiedziawszy, Horpiński się rozśmiał, uchylił kapelusza i poszedł dalej.

Paczuski stał krótką chwilę, zmieszany, zrozumiawszy złośliwość, z jaką go Horpiński tą nowiną przywitał. Pragnienie zemsty urosło jeszcze... ale cóż mógł mu zrobić?

Miasto się wyludniło, matka Emila domagała się powrotu jego na wieś; potrzeba było, odkłada-

jąc na później odwet i walkę — jechać i Horpińskiego porzucić.

— Co się odwlecze, to nie uciecze — powiedział sobie Paczusi. — Nie daruję mu.

Wybór w drogę już się rozpoczął i przyjęty nanowo elegancki Konrad miał w niej towarzyszyć Paczusiemu, gdy niespodzianie pani i panna Zawierska, które już się na wsi znajdowały — powróciły do miasta.

Sprowadziła je tu nagła choroba dalekiej wprawdzie krewnej, ale niemającej więcej rodziny nad te panie i Bończynę.

Kasztelanowa Morska była w niebezpieczeństwie: Misia, którą ona kochała jak własne dziecko, a ta jej płaciła najżywszem przywiązaniem, nie mogła odstąpić łóża chorej, matka zaś nie chciała się z córką rozstawać.

Salon zwykły Zawierskich nie otworzył się, jak w zimie, ale dwie panie rade były, gdy je odwiedzano. Kasztelanowa stała w tym samym domu i pokoje jej łączyły się z zajmowanymi przez Zawierskie.

Choroba staruszki, mimo bardzo już podeszłego jej wieku, nie okazała się tak niebezpieczną, jak w początku doniesiono; ale Misia nie chciała jej pozostawić samej z panną rezydentką i wyrzekała się dla niej willegiatury.

Jednym z pierwszych gości, którzy się stawili na rozkazy Zawierskiej, był Horpiński.

Drugim po nim znaleźć się musiał, naturalnie, Paczusi, który podróż swoją odroczył. Gniewało go to, że miał Horpińskiego zostawić przy paninie Michalinie, bo mu wszystkiego zazdrościł i psuć wszędzie pragnął.

Stawił się więc Misi do posług, bo Zawierskie, zmuszone chorobą Kasztelanowej, urządziły się już tak, aby do zimy w mieście pozostać.

Nie wspominaliśmy o staruszce Kasztelanowej, jako należącej do rodziny, gdyż ona się nigdy większemu światu nie pokazywała. Mieszkanie jej łączyło się z Zawierskich apartamentem; panie częściej dnia przebywały z nią, ale staruszka nie wychodziła od siebie, i oprócz nich bardzo mało kogo przyjmowała. Doktor H., stary przyjaciel domu, Pruszczyce, jeżeli przyjechał odwiedzić swą panią, niewielu dawnych znajomych — mieli przystęp do Kasztelanowej.

Liczyła ona lat około dziewięćdziesięciu, ale zachowała całą żywotność umysłu, pamięć, a nawet trochę wesołości dawnej. Lubiła opowiadać, pośmiać się i posłuchać; kazała sobie czytywać i za natchnieniem Misi dyktowała jej nawet pamiętniki swoje.

Wykształcona, znająca świat, podróżami wielu zapoznana z towarzystwami stolic — Kasztelanowa była w obcowaniu nader miłą, dobroczynną i — cierpienie dotkliwie zwyciężała wielką mocą ducha.

Zdrowie zmuszało ją od świata zupełnie się usunąć; potrzebowała swobody, i dlatego się zamykała u siebie.

W lecie, ponieważ przejeżdżanie z miejsca na miejsce bardzo było dla niej utrudnionem brała zwykłe panienkę jaką za lektorkę i towarzyszkę, a kochaną Misię wyprawiała gwałtem odetchnąć wiejskim powietrzem.

Tego roku, gdy zapadła ciężiej na zdrowiu, Zawierskie ulewały się, opuściły wieś i przyjechały do babci, która już ich nie wyprawiała na wieś.

Ale urządzono się tak, aby Misia nie nudziła się, miała ruch i towarzystwo.

Przybywający Horpiński, o którym wiadano, że z nim rozprawić i zabawić się lubiła Misia, powitany był wdzięcznie. Dano mu uczuć, że był pożądanym gościem, a komuż-by to, choćby najzimniejszemu, nie polectało serca i nie obudziło wdzięczności?

Zawierska wiedziała i czuła, że to nie był pretendent do ręki jej córki, ale człowiek poważny, rozumny, który, jako przyjaciel domu, nie dawał się nikomu zastąpić. Misia przyjmowała go, nie kryjąc się z żywą dla niego sympatią.

Całkiem inny stosunek był z panem Emilem Paczusim, którego panna Michalina miała za młokosa „bez konsekwencji“. Bawił ją swoją trzpiotowatością, żywotnością, niepowściągliwością języka — czasem dowcipem — był usłużny — i gdy za to na obiad go zaproszono, a Misia z nim się

potrzeptowała, oile ona trzpiotać się mogła — uważano dług za spłacony.

I Paczusi się nie rachował za pretendenta, sam nawet tak zuchwalej nie dopuszczając idei.

Niekiedy, po dłuższej rozmowie z czarną p. Michaliną, ulegając urokowi jej — zamyslał się Emil, wdychał, ale taksamo, a l'oze więcej i żywiej, zajmował się Maniusią, niewdzięczną, i wesołą wdową.

Na zapytanie p. Michaliny: co z sobą wciągnęła począc myśli, gdy Emil grzecznie odparł, iż gotów jest dotrzymać paniom towarzystwa — rozśmiała się piękna panna i wręcz mu odpowiedziała:

— Al! jedź pan do matki, która go oddawna z utęsknieniem czeka — odśwież się powietrzem wiejskim. Z nami-bys się pan znudził, a prócz tego my więcej teraz przy babuni, niż u siebie będziemy przesiadywały. Mamy tu kilku starszych, którzy pana zastąpią.

— Czy pani zalicza do nich i Horpińskiego? — spytał Emil z przekąsem.

— Jeżeli nie latami, to powagą ma do tego prawo — odpowiedziała Misia — a niemając krewnych, domu, rodziny, może zostać, nie czyniąc żadnej ofiary.

Paczusi zrobił minę szyderską.

— O tem, czy ma lub nie ma rodziny, nikt nie jest napewno uwiadomionym — odezwał się. — Któż wie czy jedna z dwóch starych bab, chłopiek, które tam pod Garwolinem gospodarują na kawałku ziemi, a on je często tam odwiedza, nie są jego mamunią i ciocią?

Misia spójrzała surowo na plotkarza, wyrazem twarzy okazując, że jej się to szyderstwo nie podobalo.

— Masz pan już tak szczegółowe wiadomości o obrotach p. Sylwana? — zapytała.

— Oplaciłem drogo moją ciekawość, — dodał Emil. — Skradałem się do tych tajemnic, niewiele wartych, jak na polowaniu do płochliwej zwierzyny.

— I tyle tylko upolowałeś? — zapytała ciekawie p. Michalina.

— Niewiele więcej — rzekł Emil. Chciałem go tam, przebranego za chłopca (bo się, słyszę, maskuje), schwycić na gorącym uczynku, ale mi się nie udało.

Paczusi mówił z wymuszonym śmiechem, lecz postrzegł prędko, iż p. Michalina bardzo poważnie i smutnie przyjmowała te zwierzenia się jego, i po krótkim milczeniu — dołożyła:

— Ja też jestem dosyć ciekawą tajemniczego tego człowieka, ale zdaje mi się, że poszanować należy to, co on okrywa zasłoną od oczu ludzkich. I pan powinieneś zaniechać tych badań. Jestem pewną, że gdyby się odkryło to, co się ukrywa, Horpińskiemu — by nie mogło zaszkodzić, ani go wstydzić. Czuł w nim zacnego człowieka.

— Powinien być szczęśliwym, że pani ma o nim tak dobrą opinią — odezwał się Emil. Co do mnie, otwarcie się przyznam, że dla niego sympaty nie mam.

Misia potrząsnęła głową i zamilkła.

Paczusi, chociaż go uwolniono od wszelkich posług, choć matka czekała na powrót, choć tłumoki były upakowane — zatrzymał się jeszcze.

Przykro mu było nad wyraz wszelki zostawić p. Michalinę ze swym wrogiem. Uczucia tego wytłómaczyć sobie nie umiał; nie był zazdrośnym, bo ani sam się nie kochał, ani posądzał Horpińskiego, aby sięgał tak wysoko, — ale widzieć go przy p. Michalinie — nie miło mu było!

Przez wszystko wiedzącego Konrada doszedł, że małe wieczorki, w kółku poufałym, urządziły się dla kasztelanowej, do których i Horpiński miał być przypuszczony, gdy o nim, o Emilu, mowy nie było.

Zaszkodzić mu nie mógł już i nie umiał. Przy najmniej chciał tego dokazać, ażeby on nad nim pierwszeństwa nie miał i postanowił bądźco bądź, postarać się o to, aby być choć raz przypuszczonym do staruszki.

Wiedział, że jeszcze dalsze niż z Zawierskimi łączyło ją pokrewieństwo z panią Bończyną. Zdawało mu się, że postąpi sobie nader zręcznie, gdy listem oznajmi o chorobie pięknej wdowce i

narzuci się jej za opiekuna i towarzysza, gdy — zapewne zechce odwiedzić babunię.

Nie zważał na to, że ta troskliwość o wdowę, zwiąże go z nią więcej i może dać do myślenia.

Nie zastanawiając się nad skutkami tego kroku, napisał list i oddał go na pocztę.

Kasztelanowa była bardzo bogatą i bezdzietną: wszyscy więc krewni dalsi i bliżsi, nadskakiwali jej pochlebając sobie, że o nich będzie pamiętać. Oprócz tego p. Bończyna rada była widzieć Warszawę, a i grzeczność Paczusińskiego czyniła na niej pewne wrażenie. Przybyła więc natychmiast, dała o tem znać Paczusiemu i posłała dowiedzieć się: kiedy babunię odwiedzić będzie mogła.

Odpowiedź nadeszła uprzejma, ręką Misi nakreślona, w zastępstwie babuni. Zapraszano Bończynę, choćby natychmiast, ale położony był warunek, aby nikogo z sobą nie przyprowadzała, gdyż Kasztelanową męczą obcy ludzie.

Paczusi, pochlebiający sobie, że mu wdowa wstęp ułatwi, zawiódł się i na tem. Ani przy pierwszych ani przy następnych wizytach nie mogła go wziąć ze sobą.

Ten tylko skutek miała wycieczka pięknej pani do Warszawy, że Emila do niej, ją do niego, bardziej jeszcze zbliżyła. Paczusi, sam o tem nie wiedząc, zaplątał się, półsłówkami poszedł dalej niż chciał, nie krył się ze swem uwielbieniem dla pięknych oczu, a śmiejące się piękne oczy wcale się za to nie zdawały gniewać.

Razem byli w teatrze; parę wieczorów przesiedział z panią Bończyną; Emil towarzyszył jej do sklepów, biegał za sprawunkami, naostatek doprowadzał ją aż za miasto. Dopiero powróciwszy, gdy ochłodził nieco i rozważył swe postępowanie, postrzegł, iż poszedł daleko dalej niż należało — i że piękna wdowa trochę miała prawo rachować na niego.

Zmęczony, znudzony, zrozpaczony, w końcu jednego dnia nagle posłał po konie, siadł do powozu i pojechał do matki.

Gniewał się na siebie.

Horpińskiemu wiodło się daleko szczęśliwiej. Niecierpliwiło go wprowadzanie szpiegowanie Emila i ten rodzaj prześladowania, lecz szkodzić mu to nie mogło. Jedyny dom, który cenił i bywał w nim lubił, był dla niego otwartym. Z sercem, boleścią, długą zamknięciem, Sylwan ani mógł zamarzyć o paninie Michalinie, a położenie jego towarzyskie wogóle nie dozwalało mu ani myśleć o ożenieniu się: nie mógł więc dopuścić zakochania się, a miał moc wielką nad sobą. Panna Michalina była mu miłą — i stanowiła ciekawą psychologiczną zagadkę.

Nie była podobną do pospolitych kobiet, które on spotykał w ciągu życia. Niezwyczajnej piękności, nie była zalotną, a pomimo to piękność swą umiała i lubiła uwydatnić nader wytwornym ubraniem, smaku pełnem. Młodzieńczy zapal łączył się w niej z panowaniem nad sobą, spokojem, z jakimś zadowoleniem warunkami życia — które się rzadko w młodych spotyka.

Kiedyż marzyć, jeżeli nie w tych latach życia, przed którymi szeroko się rozlegają lazurowe przestrzenie?

Wstęp do życia zawsze się prawie odznacza jakąś gorączką i niecierpliwością. Chcemy co prędzej wypić kielich — na którego dnie gorycz czeka.

W paninie Michalinie żadnego z tych symptomatów młodości nie widział Sylwan: przeciwnie, zdawała się używać z rozkoszą tego, co miała, nie śpiesząc wcale po to, co się jeszcze obiecywało.

Otoczona rojem młodzieży, wśród której wielu było mogących się podobać i zająć, nigdy nie wyróżniła dotąd nikogo — oprócz Horpińskiego.

Ale i w tem zajęciu się nim może rodzaj tajemnicy, jaka go osłaniała, nie był bez udziału i wpływu.

Zamiłowanie sztuki, rzeczy poważnych, ludzi poważnych — starczyło jej doskonale do wypełnienia chwil swobodnych, a nie przeszkadzało zadość uczynieniu obowiązkom względem matki, którą kochał najczulej, a nawet trochę zajęciom około domu.

Horpiński patrzył na ten posąg chodzący z u-



ŚWIĘTE NIEWIASTY PRZY GROBIE CHRYSZTUSA.

śmiechem spokoju na ustach, z czołem wypogodzonym, z oczami pełnymi myśli, niedających się wyrazić w żadnym języku, i nie mógł się powściągnąć od uwielbienia dla niej.

Nie była to miłość taka, jaką w młodości goryją serca, gdy im zmysłowe wrażenia przygrywają; nie była to namiętność ale pociąg niezwykły ku istocie wyjątkowej. Zajęcie się nią zwiększała myśl smutna, natrętna: jaki los spotkać może tę kobietę w przyszłości?... Nie widział nikogo dokoła, coby jej był godnym; rodzina, matka musiała ją wydać za mąż — było to w porządku rzeczy, było koniecznością — ale za kogo?

Horpiński ubolewał zawczasu i gubił się w przypuszczeniach wyboru, jaki ona uczynić mogła, zmuszona wkońcu wybierać. Tak łatwo się było omylić.

Z każdym dniem prawie sympatya dla panny Michaliny w nim rosła, stawiała się jedną z myśli obrotowych jego życia; lecz Sylwan nie widział w niej dla siebie niebezpieczeństwa.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE

Paryż d. 31 Marca 1884 r.

Śmierć Migneta, członka Akademii Francuskiej. — Szczegółowy biograficzny. — Człowiek i pisma jego. — Wspomnienie o Michèle z powodu książki: *Moja młodość* — Przyszła doroczna Wystawa Sztuk Pięknych w Paryżu. — Matejko i jego „Hołd pruski“. — Niespodziewane przeszkody — *Sic vos non vobis*. — Sprawa finansowo-literacka. — „Daniszewy“. — Rewindykacja p. de Corvin'a. — Proces z Dumasem i wyrok sądowy. — Nowa książka: *Bractwo mistyczne* Sidi-Mohammeda-Ben-Alego. — Ciekawe szczegóły o tem bractwie. — Stowarzyszenia religijno-polityczne u Arabów.

Zaledwie Akademia Francuska zdołała zapełnić opróżnione miejsca śmiercią Hen. Martina i de Laprade'a na swych ławach, a oto prowadzi już na mogiłki najzasłużniejszego ze swych dziekanów, a od lat blisko czterdziestu swego sędziwego sekretarza generalnego (perpétuel).

Alexy Mignet rodził się w Aix, (w Prowancji) 1796 r. miał więc 88 lat wieku. Zgasł po krótkiej chorobie, zapalenia płuc, prawie bez cierpień, w mieszkaniu swoim, przy ulicy d'Aumale pod Nr. 14, w Paryżu.

W spółrodak, powietnik, jak mówią na Litwie, towarzysz ze szkolnych ławek, od lat najmłodszych Adolfa Thiers'a; Mignet nie miał ani ambicji, ani rzutkości, swego towarzysza, i był jakby żyjącem zaprzeczeniem legendy o tych zapalonych głowach południowców, i jakby odwrotną stroną medalu swojego Achata. Umiarkowany, był skromny, pracowity i rozmiłowany w literackim rzemiośle; nic go nie nęciło, nie ciągnęło do życia politycznego, do hałaśliwych sfer parlamentarnych, do tej walki o władzę, w których całe swe życie rozkoszował się jego towarzysz.

Kiedy ten, piskliwym swym głosem i niezrównaną łatwością wymowy, zapełniał ciągle parlamentarną mównicę — Mignet, zamknięty w archiwach spraw zagranicznych, których był dyrektorem do 1848 r., uprzejmy, grzeczny, ale skąpy w słowach, w towarzystwie jedynie ścisłych i najpoufalszych przyjaciół stawał się rozmowniejszym trochę.

Mignet opuścił Aix i jego prawny fakultet wraz z Thiersem. Dwaj prowansalscy adwokaci przybyli do Paryża z próżną kieszenią, ale z sercem pełnem nadziei. Już wtenczas ambitny, choć młodziutki, Thiers mówił do przyjaciela: „Chowaj się za mnie, i nie bój się, Alexy! Paryż do nas należy: na to twój Adolf daje swoje słowo. Będziemy ministrami, zobaczysz!“ Tymczasem, jak wróble, ich bracia, osiedli na poddaszu starego domiska w Passażu Montesquieu.

Wkrótce protekcya kompatrioty i posła, Manuela, otworzyła Mignetowi wstęp do dziennika: „*Kuryer francuski*“ kiedy Thiers, pod patronatem barona Louis próbował sił swoich w finansowym zawodzie. Pierwsze literackie próby Migneta, poważne i dobrze wystudowane rozprawy, zwró-

cili nań uwagę uczonych. Najpierwszą z rzędu była rozprawa uniwersytecka na temat „*Ab-sence*“, a następnie pochwała króla, Karola VII; kiedy fakultet w Aix uwieńczył Thiersa pochwałą Vauvenargues'a.

W 1824 roku nakoniec, a miał wówczas lat 28, Alexy Mignet, wydał swoją historję rewolucyi francuskiej, od 1789 do 1814 r. Dzieło to, opracowane pod wpływem gorących i żywych uczuć liberalnych z owego czasu, napisane poważnym ale jedynym stylem historyków klasycznych, ogrzane zapalem człowieka południowej rasy — ustaliło jego historyczną reputacyę i postawiło go na widoku i w pierwszym rzędzie opponentów tej epoki.

Sam autor w przedmowie daje nam najlepszą definicyę: jakie były jego tendencye i czego chciał dowieść w tem dziele: „Zamiarem jest moim, powiada, przedstawiając postęp i rozwój rewolucyi, wytłomaczyć zarazem jej rozmaite przejścia. Zobaczmy z czyjej-to winy rewolucya ta, poczęta pod tak szczęśliwą gwiazdą, rozpoczęła się tak gwałtownie; jakim-to sposobem zmieniła ona Francją w Rzeczpospolitą, i jak na jej ruinach wzniosła Cesarstwo. Zmiany te i przejścia były nieuniknione prawie, wobec potężnych wypadków, które je zrodziły. Przecież byłoby nierozważnie utrzymywać, że ten stan rzeczy nie mógł być skierowany inaczej. To tylko pewna, że rewolucya wskutek powodów i przyczyn, które jej dały początek, i wskutek namiętności, któremi się posługiwała, lub które sama wywołała, musiała przyjąć taki kierunek i mieć taki, a nie inny, ostateczny wynik!“

Mignet, jakeśmy mówili, należał już wówczas do redakcyi „*Kuryera francuskiego*“, a przytem w *Athenaeum* (był to rodzaj wolnej szkoły, naksztalt niemieckich kursów przy uniwersytetach, wykładowanych przez tak zwanych: *Privat-Dozentów*) wykładał historję francuską, gdzie odczyty młodego profesora sprowadzały niezmierną liczbę słuchaczy.

Sainte-Beuve w swoich „*Poniedziałkowych pogadankach*“ wspomina mile te szczęśliwe czasy i w kilku rysach kreśli nam portret młodego profesora: „Młody, dwudziesto-kilkoletni profesor, powiada, z miłą twarzą i ładnie uczesanymi włosami (!), przedstawiał coś poważnego i uprzejmego zarazem, — pewną mieszaninę, jakby rozwagi i prostoty. Wymowa purytańskiej czystości, i wykład nacechowany powagą, nabierały podwójnej wartości, wychodząc z ust młodzieńca pełnego świetności i wdzięku“.

Takim-to był naówczas towarzysz Thiersa, który go zachęcał i popychał naprzód, i z którym w towarzystwie Armanda Carrel'a, na początku r. 1830 założył opozycyjny dziennik: „*Le National*“, tensam, który się stał kolebką rewolucyi 1830 r. i całej świetnej kariery Thiersa.

Mignet pozostał na uboczu i w cieniu. Mniej śmiały i rzutki, przyjął skromniejszy tytuł: radcy stanu, i posadę spokojną: dyrektora archiwów ministerium spraw zewnętrznych. Posłany chwilowo do Hiszpanii jako poseł na koronacyę królowej Izabelli, wrócił wkrótce do swych literackich studyów. W 1832 r. wybrany został członkiem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, a w r. 1836 Akademii Francuskiej. Od 1837 r. sprawował urząd sekretarza generalnego Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, na który sam wezwał od roku, jako zastępcę, Juliusza Simona.

Oprócz historyi rewolucyi francuskiej Mignet zostawił wiele prachistorycznych wielkiej wartości. Najznakomitsze są: *Życie Franklina*; *Wrażenia Przysięgłego*; (*Les sensations d'un Juré*); *Historja Maryi Stuart*; *Karol V-ty* i obszerna, pozostała w rękopiśmie, *Historja reformacyi*.

Mignet, jako pisarz, odznacza się: wyszukaną prawie czystością stylu, potęgą szlachetnej myśli i treściwą ścisłością faktów. Sainte-Beuve powiedział o nim: „Pisma jego to osteologia historyi“. Nie ma on blasku poetycznego poglądów Micheleta, ani płynnej wielomówności Thiersa; ale przy głębokości pomysłów Macaulaya, który mu był wzorem, często w stylu zbliża się do ścisłości i posagowej poprawności starożytnych pisarzy.

Pogrzeb jego odbył się w Piątek, 27 Marca, na cmentarzu *du Père la Chaise*. Tłum ludzi towarzyszył zwłokom. Wszystko, co tylko jest tu znako-

mitęgo w nauce i literaturze, cisnęło się około mogiły.

Juliusz Simon, w pięknej i pełnej uczucia mowie, pożegnał sędziwego przyjaciela w imię akademii. Skończył swą mowę następnymi słowy, które pozwólcie tu powtórzyć:

„W tem życiu skromnem i ustronnem otaczał go szacunek powszechny; a tak wielki był wdzięk i słodycz jego obcowania, pełna dobroci i pieszczoty uprzejmość jego rozmowy, iż wrażał tyle przyjaźni, ile miał szacunku u ludzi. Akademia, nauki i społeczność francuska, większej straty nad tę ponieść nie mogły! Dla nas wszystkich był on przewodnikiem i modłą. Miał on tę niezawisłość sądu i głęboką wiarę ducha, które są chlubą umysłu ludzkiego. Silne te i potężne cnoty, niezbędne równie dla narodów, aby pozostały wolnemi, jak na to, aby stać się wolnymi umiały, praktykował on poprostu, bez żadnej ostentacyi. Blisko sto lat szedł przed się, prostą, wytkniętą drogą, pisząc piękne dzieła i dając godne przykłady. Oddajmy pokłon jego szanownym zwłokom, ze wzruszeniem patryotów i z sercem pełnem wdzięczności!“

Mówiąc o zmarłym, nie zapominajmy tego, czyje imię, tylko-co wspomniane wyżej, kołacze do naszej wdzięcznej pamięci, upominkiem pośmiertnym. Wśród tej prawdziwej powodzi książek, z których część większa, jeżeli nie zupełnie szkodliwa, to przynajmniej niewiele warta, przeszła niepostrzeżenie prawie i ta, w której przecież niejedna perła się ukrywa, perła uczucia i myśli wielkiego pisarza.

Jeżeli tytuł jej skromny: „*Moja młodość*“ (*Ma jeunesse*) nie bije w oczy, nie ściąga gwałtownie uwagi, zato nazwisko tego, czyją młodość opowiada ta książka, głębokie zaraz wywiera wrażenie. Przyjaciół Adama Mickiewicza, jeden z jego kolegów w Collège de France, Michelet był to jeden z najsympatyczniejszych francuskich pisarzy z owej świetnej plejady, która tak jasnym buchnęła światłem po roku 1830 we Francyi, i której ożywcze promienie przeniknęły nawet tam, gdzie cywilizacya nie wyszła jeszcze z pieluch.

Michelet był jednym z głównych czynników tej vibracyi światła. — Co ten człowiek wylał uczucia; ile przyłożył nietykło wiedzy, ale serca w wykładach i pismach; ile-to on zelektryzował, ożywił serc; iluż-to on słuchaczy popchnął na szeroką otwartą drogę, nauki i wiedzy; jak on umiał gorącym uczuciem, rozgrzać i ożywić uspio-ną przeszłość: tego nikt wyrazić nie zdoła, choćkolwiek nie słyszał żywego słowa, co jak wezbrany potok, płynęło z natchnionych ust tego człowieka...

W późnym już wieku, gasnąc powoli, na malowniczych wybrzeżach Prowancji patrząc na modre fale morza, w których się jasno kąpało słońce — zachwycony, stojąc już na tajemniczym progu Wieczności: — „Polecam — powiedział w ostatnim westchnieniu — polecam Bogu duszę moję, pełną wdzięczności“.

Michelet, w długim swem życiu, jako nauczyciel lub pisarz — mógł się czasem omylić; porwany gorącą wyobraźnią, mógł czasem zboczyć w swym locie ku nieskończoności; ale jako prawdziwy geniusz dążył zawsze przeciw do swojego źródła; prawej drogi nie opuścił nigdy rozmyślnie i żaden z fałszywych proroków, którymi roi się wiek dzisiejszy, nie ma prawa położyć nań ręki, jak na swoje własność — bo był on, i został sam sobą do końca!

W późnym już wieku, wracając myślą, jak każdy z nas, do jasnej, do złotej młodości, pisał nieraz dorywczo, ulotne wspomnienia, tak, jak mu się nasuwały, pod wrażeniem obecnej chwili. Wdowa jego, która i sama jest pisarzem nie bez talentu — rozrzucone te kartki zebrała jako najdroższą spuściznę i uporządkowała, z tem uczuciem prawie religijnego szacunku, za co się jej należy prawdziwa wdzięczność. Troskliwe to staranie oddycha na każdej kartce i przypominają: że jeżeli Michelet tak serdecznie ukochał młodszą od siebie towarzyszkę ostatnich lat swoich — to ona, szacunkiem, pojętnością ducha i przywiązaniem, sownie mu odpłaciła się za jego wielką, niekłamną miłość.

Moja młodość, jak wszystko, co wyszło z pod pió-

ra tego pisarza, ma tę świeżość i ten wdzięk młodociany prawie — które zdają się być, jakby nierozdzielni z tą wieczną młodością ducha poety-pisarza! — Nie godzi się więc streszczać tego, co jest w tej książce pośmiertnej, nie godzi się dotykać zimnym nożem suchego rozbioru, bo mech kwiecisty, bo złoty pyłek uleci. Trzeba przeczytać wszystko. Odsyłając więc ciekawych do książki, bo wszystkiego przepisywać nie mogę, odezwę tu jedną tylko, małą kartkę, bo mi ona przypomina osobistą niegdyś rozmowę z Michelem.

Michelet, jak wiadomo, był synem biednego urzędnika. Ojciec jego, czas jakiś zajmował posadę dozorca przy domu obłąkanych. Ciekawe były te pierwsze wrażenia, jakie ten pobyt w tym zakładzie wywarł na umyśle młodego chłopaka. Pamiętam, że mi wspominał o tem, i mówił, że wówczas jeszcze, na starość, czuł dotkliwie wpływ tych pierwszych wrażeń młodości. Ślad tego znajdziemy na tej właśnie oderwanej kartce.

„Obok dużego pokoju — powiada — gdzie sypiałem wraz z ojcem, był drugi, nierównie mniejszy, do którego się chroniłem, kiedy on miał rozmawiać z chorymi, albo z usługą szpitala. Okno tego alkierza wychodziło na dziedziniec zasadzony drzewami. Było to miejsce przechadzki dla obłąkanych kobiet“. Tu opowiada scenę, której był świadkiem, i która głębokie wywarła na nim wrażenie. Rozmawiał z ojcem o tem, co widział; ten mu tak mówił, kończąc opowiadanie o losach biednej obłąkanej: — „Jest to wieczna i tażsama historia; jedne z nich umierają z boleści, drugie tracą rozum... i nie wiem prawdziwie: co jest gorszego?“ — „Mój ojciec miał słuszość — dodaje Michelet — najgodniejsze litości są te, które mogą przeżyć nieszczęście!“

Jak mówiłem — ta kartka, przypominała mi własną moją rozmowę z Michelem. — „Szczególnym trafem, w pierwszej młodości — powiadał mi, odebrałem ciężkie wrażenie i bolesną naukę o losach serca kobiety... to mi zostało na całe życie. Nie mogę patrzeć na ich łzy i cierpienie, i wobec kobiety, będącej w walce z losem — naślę i bez wahania staje po jej stronie“...

Od tych dwóch wielkich umarłych przejście do żywych nie łatwe. Nie szukałbym nawet pretekstu i wykonałbym to *salto-mortale*, z zamkniętymi oczami. Na szczęście, czy na nieszczęście, *swój* staje mi na drodze i daje sposobność bez wielkich mozolów dotknąć celu odrazu, bo mówić o rzeczy, która, jestem pewien, zajmie czytelników moich.

(Dokończenie a nastąpi).

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

*AKT II.

(Dalszy ciąg).

*SCENA XV.

*Agis

Ha! jak się macie? wierni mi zawsze! tak rano Przyszliście; tą jutrenką was witam różaną, I temi gwiazd perłami wam płacę. Co słyhać? Co robi moja matka i żona?

*Arcezylausz

Oddychać
Zaczynają, bo wierzą, żeś oto zbawiony.

*Agis

Sen miałem jednak dziwny: Siedziałem czerwony. Jak król na wózku złotym, a moim zaprzęgiem Był pudel i dwa wróble — a wiozły tak szybko. Ze ziemia grzmiała, wartką się zdając i chybka W swym obrocie i cała ołowianym kregiem, Około wozu mego skrecona. Sen dziwny, Bo kiedy w ten las zda się wjechałem oliwny, Pudel zniknął, a potem i wróbel, a potem Wóz mój już własnym pędem, z potęgą i grzmotem Leciał w miasie świecący za czarnymi 1) drzewy I tylko już przed wozem wróbel został lewy, I ten uciekał niby 2) przed wózkiem kulawy. Świat był czarny, powietrze czarne, mgła z ku- [rzawy, 3) A jam leciał w ciemnego coś, jak duchów pań- [stwo 4).

*Arcezylausz

Chodź do łaźni!

*Agis

Czy żona zdrowa?

*Arcezylausz

Wszyscy zdrowi

*Agis

Idźcie, bracia, a co Bóg zemną postanowi, To się stanie.

*Arcezylausz

Zamknijcie już ten kościół, duchy!

*Chorus

Już na wieki zostanie zabity i głuchy, W te źródła 5), w te trawy, jakoby jesienne, 6) Z czoła zrzucając liści girlandy kamienne

*Głos

Ruiną jest uczynion.

*Chorus

Teraz między ludzi! Gdzie na straszną się mękę dom Agisa budzi.

*SCENA XVI.

*Archidamia

Wstawajcie dziewczki 7), a tam na ulicę

- 1) „świecący tam za temi“.
- 2) „I uciekał kulawy“.
- 3) „czarne i kurz krwawy“.
- 4) „coś — wietrzne królestwo“.
- 5) „z czoła zrzucając“.
- 6) „jakoby jesienne drzewo“.
- 7) W brulionie znajduje się wariant tej sceny:

*Archidamia

Wstawajcie dziewczki, a wyjdźcie na plac dowiedźcie się, kogo tej nocy zamordowano, który dom opustoszał i czyja żona lamentuje?

*Kleomenes

Twój dom opustoszał i tobie należy lament prowadzić *)

*Archidamia

Królatko katowskie w moim domu.

*Kleomenes

Wszakże mi oczu nie wydrzesz.

*Archidamia

A gdzie twój guwerner?

*Kleomenes

Przed Eforami staję w obronie Agisa.
*) „i od ciebie płacz“.

Wyjdźcie 8) posłuchać, kogo tam dziś rano Niestało, kogo dziś zamordowano, Kto miał 9) na belce swojej szubienicę, Czyje domowstwo dziś wypustoszało, Kto się z kim spotkał w Plutona płomieniach, Czyje brytany na śmierć wyją w sieniach, W jakich ulicach od krwi zacuchniało? — Idźcie i wszystko mi wiernie donieście, Aby wiedziała, gdzie śmierć stoi w mieście.

*Kleomenes

Tobie dziś lament prowadzić przypadło, 10) Matrono Sparty!

*Archidamia

Horror! dziecko kata! Kto cię tu przysłał?

*Kleomenes

Agezystrata. 11)

I śmiertelne oto przeszcieradło. Przysłała tobie, mówiąc, że Agisa Ducha za swego bierze opiekuna 12).

*Chorus

Jestże to jaka ręka duchom miła, Która w tych srogich i morderczych czasach 13) Ten nam Neptuna kościół otworzyła, I pokazała tam w oliwnych lasach, Jakoby w ustach tej płaczki płonące, Złote i w światłach duchy gadające? Któż ją nauczył łzami miękzyć granit I spełnić takie dzieło cudu Boże, Mówić wilgotnym głosem Oceanid, W ustach mieć perły i jasności zorze? 14).

Komu duch daje a on sam nie niszczy, Ale używa podług Boga darów, W tym wszystko jako ogień Boski błyszczy. Wszystko gra jako harfa pełna czarów. **) Wszystko moc światła w błyskawicę zbiera, Wszystko....

Koniec aktu drugiego.

*AKT III 1).

*Chorus

Są dnie jakby czerwone i ciężkie, a kto je Przeżył i czuł jakoby nieszczęście patrzyło, 2) I strach otwierał 3) krwawym wypadkom po- [dwoje, I ludzką wolę łamał 4) niewidzialną siłą: Kto takie dnie już przeżył 5), lub krwią je za- [płacił,

- 8) W autografie: „wyjdzie“.
- 9) „W nocy“.
- 10) „przypadnie“.

11) *Archidamia

I dom na tego człowieka nie spadnie? Ha?

12) *Archidamia

Agiat! słuchaj-no tego zwiastuna, Posłuchaj tego głupiego Naręcza.

13) „Która daleko tak, a jakby blisko, Że w niem cudowne jakieś widowisko, Jaka nimf gromada biała, Która przez usta tej płaczki śpiewała, Cudowne niby duchów promienisko“.

- 14) Cały ustęp mocno kreślony i poprawiany, ledwie czytelny.
- **) Następują w tekście dwa wiersze, w sprawie uszkodzone.
- 1) Zatyłowany w autografie: „Dzień III“.
- 2) „jakoby w powietrzu ciężary, — nieszczęścia ogrom — powie- trza zaduchę“.
- 3) „I schły kwiaty“.
- 4) „dręczył“.
- 5) „dnie na ziemi“.

Wszelki już smak ku świata słodkim rzeczom
[stracił 6).

Wzrokiem surowym rzeczy cielesne przenika,
A stoi pośród małych ludzi, jako skała,
Szczęśliwy, jeśli jakie ciało się odmyka
Przez katy, a duch złoty wylatuje z ciała,
Zadrży chwilę i piorun złamawszy fatalny, 7)
Nad krajem swój rozciąga duch — sakramen-
[talny.

Niby z ciała wyrwane piorunowe bicie, 8)
Któremu lżej i lepiej przez wszystkie mie-
[siące,
I przez wszystkie girlandy komet na błękiecie,
I przez wszystkie też serca i przez rąk ty-
[siące,
I przez szczepioną w podłe tyrany obawę,
Z ciała uwolnionemu — czynić Bożą sprawę.

Pozwólmy jednak strachowi
Cielesnemu naszej sceny,
I smutkom, i księżycowi.
I dawne greckie kameny,
Przywołajmy tu rozpacz:
Przy kościele, w oliwnych lasach — niechaj
[płaczą!

*SCENA I.

Arcezylausz. — Amfares. — Demochares.

*Amfares

Gdzie Agis? 9)

*Arcezylausz

Jeszcze dotąd się wylega,
Jak na królewskiej pościeli.

*Demochares

Jegomość!

*Amfares

Sny dają rzeczy tajemnych wiadomość.
Gdyby on teraz przez jakiego szpiega
Myśli człowieczych o tem się dowiedział,
Że my go w drodze oto porwać mamy!

*Arcezylausz

Bah!

*Demochares

Oczy twoje są jak czarne jamy.
Całą noc, widząc, duch zgryzoty 10) siedział
Na twojem łożu.

*Arcezylausz

Klnę się, żem spał głucho.

*Amfares

Arcezylausz! ta złota amfora....
Patrzaj przez dziurę.

6) „Jako dach, smak do rzeczy tych doczesnych stracił“.
7) „jakoby boleścią fatalny“.
8) „piorunowe władze“.
9) „Gdzie Agis? — Jeszcze wysypia się jegomość jakgdyby na królewskiej leżał pościeli — w łaźni.“

*Demades

O wschodzie jutrzeńki....
Wschodzi i zorzą, ten kościół rumieni.
Trzeba go tutaj odprowadzić cało.
Zastukaj.

*Demochares

Czas go obudzić i do łaźni zaprowadzić.

*Amfares

Czekaj, ten dzień mu jeszcze jeden darujemy.
10) „Ogień zdrady“.

*Demochares

Chodź, powiem na ucho.

*Arcezylausz

Głupiś! nie można czekać do wieczora.

*Demochares

No, to słuchaj i budź!

*Chorus

Wstawaj! wstawaj. Agisie! Charona łódź
Już gotowa, przyjaciół zdrada czeka.
Wstawaj! wstawaj, już anioł twój z ciała ucieka,
Już raz ostatni oczy otworzysz zaspane,
I tu, na te ojczyzny szmaragdy zielone
I na twoje te greckie jutrzeńki różane.
Po raz ostatni spojrzysz. Jak perły stracone,
Uciekły już dni twoje. Niewierne są brysie,
Które u wrót wołają....

* SCENA II.

*Arcezylausz

Agisie! Agisie! 11)

*Agezystrata

Agis mój — żywy?

*Kleomenes

Przy gmachu Neptuna
Został porwany!

*Agezystrata

Przez twego ojca!
Przez tego tygrysa,

*Kleomenes

Kościół nie zgwałcony,
Właśni go, a za namową Eforów 12),
Trzej przyjaciele, pośród świętych borów
Pojmali i przed święty sąd czerwony zawlekli.

*Archidamia

Gdzie jest teraz dziecko moje?

*Agezystrata

Nie wiem, co jej rzec. Kiszki się porusza!
W świątyni strachu.

*Archidamia

Tam, gdzie ludzi duszą.

*Agezystrata 13)

W świątyni strachu!

*Archidamia

Ha! ja się nie boję
I tego Boga. — Czy exekutory
Już poszli?

*Kleomenes

Spiesz się!

*Archidamia

Hej, Agezystrata!

*Agezystrata

Co, matko?

*Archidamia

Nasze dziecko w ręku kata!!

11) „Któremu chłopiec Panteusz jest żoną, a Borysteńczyk Sferus guwernerem“.
12) „Przez własnych został przyjaciół pojman“.
13) „Gdzie“.

Weźmy kadzidła, amiantowe wory,
Chodźmy po popiół — po popiół 14) z dziecięcia,
Jeżeli jeszcze z niego co mieć chcemy!

*Agezystrata

Chodźmy! lecz ja wiem, że na śmierć idziemy.

*Archidamia

A zaduszenia tego, albo ścięcia,
Godne my obie stare i zgrzybiałe 15)
Spartanki. (Wychodzą).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Marcu 1884 r.

Walne zgromadzenie delegatów Towarzystwa Kredyt. Ziems. — Rada Ogólna Towarzystwa Gospodarskiego. — Kółka rolnicze. — Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. — Przemowa Leszka Borkowskiego. — Wykład p. Wierzbickiego „O koronkarstwie“. Roboty pończoszkowe maszynowe. — Wystawa rzeźb i ornamentów pokojowych Szimsa. Deklamator Konopka. — Nowa powieść Rogosza: *Dzisiejsi bohaterowie*. — Biblioteka „Mrówki“. — Publicystyka miejscowa. — Jubileuszowe przedstawienie w teatrze na cześć Jana z Czarnolasu. — „Odprawa posłów greckich“.

(Dokończenie).

Nietylko z estrady teatralnej daje się słyszeć deklamacya, na powierzchowne obliczona wrażenie; spotykamy się z nią bardzo często i w życiu powszednim, usiłującą pozorami przybranej wielkości i cnót obywatelskich zakryć nicłość wewnętrzną, a nieraz nikczemne nawet nawet namiętności. Wykazać to i odkryć sprężyny poruszające działaniem ludzi, przywłaszczających sobie sławę i wziętość, na którą nie zasługują, pomimo, że uwiedziona pozorami opinia publiczna stawia ich na świeczniku i kierownikami swymi uznaje, jest zadaniem najnowszej powieści Rogosza: *Dzisiejsi bohaterowie*, będącej obrazem pewnej epoki życia galicyjskiego, podobnie jak tegoż autora dawniej napisani „Marzyciele“ i kilka innych w tymże rodzaju powieści. Rogosz przedsięwziął w szeregu powieściowych obrazów skreślić przemiany, jakim uległo społeczeństwo galicyjskie w ostatnim pięćdziesięcioleciu, skrytykować społeczne dzieje Galicyi, zbadać sprężyny i pobudki przeobrażeń tutejszych stosunków, odtwarzając je z natury ze znajomością rzeczy i bystrością dobrego obserwatora. Jakoż, kto zna Galicyę i przypatrzył się przez jakie w pomienionym przeciągu czasu przechodziła ona koleje i jak dalece wszystko się tu zmieniło od owych lat, na które młodzieńcami sami jeszcze patrzyliśmy oczyma, — ten przyzna, że stosunki tutejsze przedstawiają arcy-ciekawe studium dla powieściarza, pod względem społecznym i politycznym, w którym spoczywa dlań bogaty materiał twórczy. Skorzystał z niego Rogosz, a jego „Bohaterowie dzisiejsi“ przewyższają pod względem artystycznego wykonania i wybitności typów, oryginalnych a zajmujących, tudzież żywości obrazowania, dawniejsze jego powieści. Zestawiwszy najnowszą tę powieść Rogosza z „Marzycielami“ otrzymujemy ciekawy obraz dwóch niejako epok, dwóch chwil po sobie następujących, społecznego życia Galicyi. „Marzyciele“ byli to ludzie z dobrą wiarą, goniący za ukochanym ideałem, choćby na własną zgubę; „Dzisiejsi bohaterowie“ są to egoiści, ambitni, próżni, wystygli sercem, drapujący się pozorami poświęcenia i deklamatorstwem, dążący do urzeczywistnienia swych celów, a temi w gruncie rzeczy są: zysk osobisty, dogodzenie własnemu często bardzo brudnym, ale kunsztownie zamaskowanym namiętnościom. We wszystkich sferach społecznych, na każdym punkcie życia domowego i publicznego, znajdują się

14) „proch“.

15) „stare Sparty matki“.

tacy bohaterowie, rozciągający swą czynność w rozmaitych kierunkach, na każdym polu, jakie temu lub owemu stoi otworem. Świętoszkowie Molirowscy, na szerszą publicznych stosunków wyprowadzeni widownią, są w społeczeństwie epidemią, zatruwającą zdrowe jego soki, wyzyskując jego dobroduszość i poczciwe instynkta. Rogosz w powieści niniejszej demaskuje tych świętoszków, przywłaszczających sobie niezasłużenie część powszechną; ściera z ich czoła blichtry, które usiłują okryć nicość swą i brudne samolubstwo. Pomiedzy tem rojowiskiem ludzi bez czci, wielbionych pomimo tego powszechnie, dzisiejszej miary bohaterów, występuje parę postaci szlachetnych, o charakterze spartańskiego nastroju, dla wydatnienia obrazu przez zestawienie kontrastów, co powieści prawdę życia nadaje. Rzeczywiste zdarzenia i stosunki nasuwają Rogoszowi tło, na którym dzierzga on powieściową koronkę i grupuje działające osoby; wszelako nigdzie nie zniża się do portretowania, a tem mniej do osobistego paszkwilu; a chociaż wtajemniczonymu dobrze w tok wypadków, jakie się odgrywały w Galicji w erze konstytucyjnej, przyjdzie może na myśl tu i owdzie jakie porównanie lub przypomnienie, potrącające o niektóre osoby wybitniejszą rolę na widowni publicznej odgrywające, w porze, w której autor powieść swą wysnuwa,—to podobieństwo to bardzo dalekie i dowolne, bo jak powiedziałem, w całej powieści niema ani jednego portretu, lecz są tylko typy, dla scharakteryzowania fizioonomii czasu i społeczeństwa umiejętnie obmyślane i zestawione w żywym obrazie.

„Biblioteka Mrówki“ wzbogaciła się temi czasami znów nowymi tomikami. Obecnie skierowała się przeważnie ku rzeczom scenicznym, dawniejszym; wyszedł Zabłockiego „Fircyk w załotach“, Moliera *Skąpiec*, Szyllera *Zbójcy* i parę innych, uznanej wartości, utworów dramatycznych. Zwrot ten wydawnictwa ku rzeczom dramatycznym nie jest bez celu, przypadkowo obrany. *Mrówka* pracuje wytrwale, aby być pożyteczną w skromnym swym zakresie. W chwili, gdy na scenie Wowskiej zapanowała komiczna, a raczej powiedzmy bez ogródek, błazeńska operetka, tak dalece, że chwast operetkowy przygłusza wszystkie inne, szlachetniejsze sztuki kierunki, dobrze jest przypomnieć publiczności piękne klasyczne dzieł znanych autorów, puszczając je w obieg w pożytecznych, tanich książkach, jak ziarenka pożytecznego posiewu, aby nie dać zupełnie zależeć roli i niezaprzepaścić ze szczerem dobrego smaku.

W publicystyce tutejszej, to jest w składzie redakcyi niektórych pism miejscowych, zaszły ważne zmiany. Redakcyą naczelną „Kuryera Lwowskiego“ założonego przed rokiem przez ś. p. Richtera, księgarza, na wzór *Kuryerów warsz.*, objął Henryk Rewakowicz, jeden z najzdolniejszych dziennikarzy politycznych u nas, pracujący od lat trzydziestu prawie na tem polu, w ciągu którego czasu, nie tylko rozwinął wiele zdolności publicystycznej, ale pracowitością zasad i stałością przekonań zjednał sobie powszechnie szacunek należyty. Wyznawca zasad postępowych, liberalno-demokratycznych,—wytrwale walczył on zawsze, w obronie tychże, i tożsamo zapowiada w programmacie, mającym formę listu otwartego: „Do przyjaciół i przeciwników“ umieszczonego na czele pierwszego numeru, wydanego pod jego naczelną redakcyą. Ubolewa on, że ludzie bez charakteru, zmiennych przekonań, z egoizmu i służalstwa podszycują się częstokroć pod obóz konserwatyzmu i wyrządzają mu tem wielką krzywdę, poniżając tym sposobem jego zadanie i właściwego mu ducha. „Zadaniem konserwatyzmu jest: *czuwać nad ochroną dawnych nabytków*, powiada Rewakowicz

w swym programmacie. Prawdziwy konserwatyzm, jeżeli czasami truchleje na widok rażniejszego tętna, nigdy i nigdzie nie jest zasadniczym wrokiem kierunków postępowych, których zadaniem jest *zyskiwać nowe nabytki*. Zawarte, na wzajemnem poszanowaniu, polegające działanie tych dwóch kierunków, jest warunkiem *harmonii* w życiu społeczeństw i rękojmią powodzenia spraw publicznych. Gdzie stosunek sił wzmiankowanych zwicnięty, tam zastój i reakcja, albo zamęt i anarchia“.

O tę więc *harmonię* starać się, wychodząc zawsze ze stanowiska postępowego, bronić słabszych i cierpiących, pod godłem ściślejszej prawdy tępić nadużycia i wyganiać prywatę z dziedziny spraw publicznych, iść naprzód w przedniej straży i *torować drogę rzeczom pożytecznym*: oto jest, co za zadanie sobie, według słów programmatu stawia nowy redaktor kuryera.

Piękny zaiste programmat, i któżby się nań nie zgodził? W końcu wzywa Rewakowicz swych stronników i przyjaciół, aby wraz z nim stanęli na całej linii do szeregu, *bo jest mnogość trudu do zwalczania i potrzeba podziatu pracy*.

Objęcie redakcyi „Kuryera“ przez Rewakowicza, kazało się spodziewać, że pismo to zajmie odrazu wybitne stanowisko polityczne, skutkiem czego rozszerzy też stosownie część polityczną, i politykę na pierwszy plan wprowadzi, czego jednak w wydaniach dotąd kilku numerach nie widać. Kronika miejscowa powszednia i część informacyjna stanowią główną rubrykę „Kuryera“ podobnie jak dawniej. Zato rozszerzył się znacznie zakres spraw domowych, krajowych, rozbiór stosunków miejscowych, ekonomicznych i społecznych, co też najbardziej odpowiada przeznaczeniu pisma tego rodzaju.

Dwa z Nowym Rokiem utworzone czasopisma tutejsze: *Niedziela* i *Ognisko Domowe*, rozwijają się w sposób pożądaný, każde w swoim kierunku. „Niedziela“ pod skrzydłem i kierownictwem „Macierzy“ odznacza się trafem do potrzeb i stanu umysłowego wykształcenia ludu zastosowaniem, mając głównie na celu życie rodzinne, gospodarstwo i moralne podniesienie włościanina. Dobór przedmiotów roztrząsanych w *Niedzieli* odpowiada dotychczas zupełnie temu zadaniu, a styl, przystępny i obrazowy, czyni treść bardziej zajmującą i sprawia że pismo pomyślnie się rozpowszechnia w sferze, dla której jest przeznaczone.

Niemniej też i *Ognisko Domowe* nabiera z każdym numerem więcej wartości i wybitnego kierunku, tak, iż idąc tą drogą, wyrobi się na dobre pismo literackie, którego tutaj istotnie potrzeba. Dobór artykułów jest coraz lepszy i charakter pisma nabiera jednolitości, czego początkowo nie było, a co jest jednym z głównych warunków powodzenia i dobroci każdego pisma peryodycznego. Należy sobie wytknąć przedewszystkiem cel jasny, co i dla kogo ma się pisać i drogą wytkniętą konsekwentnie postępować na polu obranem. Rządźmy pamiętać o tem redakcyi „Ogniska“: a rozwinię się ono pożytecznie, jak obecnie już zapowiada. Ku uczczeniu Kochanowskiego urządziło *Koło literackie* przedstawienie jubileuszowe w teatrze, którego programmat składał się z części muzycznej, stosownie bardzo dobranej, i z odegrania *Odprawy posłów greckich*. Z tego względu przedstawienie to pozostanie pamiętnem w kronice teatru tutejszego, ile, że za wskazówkami i pod umiejętnym kierunkiem członków *koła literackiego* odpowiadało ono, ile w danych warunkach stać się to mogło, wymaganiom sztuki klasycznej. Artysci sceny tutejszej starali się utrzymać na poważnym koturnie i stworzyć obraz świata greckiego, co się im powiodło. Dobrze i umiejętnie dobrane kostiumy przyczyniły się znacznie do do-

brego wogóle wrażenia. Z mężczyzn Parys i jego poseł odznaczali się deklamacyą i postawą klasyczne wzory przypominającą. Tożsamo Helena, której postawa i ruchy układały się z wdziękiem plastycznym, pełnym godności i klasycznego piękna. Z przerażającą prawdą wypowiedziała swe wroźby Kassandra i miała chwile prawdziwie piękne i porywające, chociaż w grze jej było za nadto romantycznego ciepła, przekraczającego miarę powagi klasycznej. Wogóle wrażenie widowiska było podniosłe i dobre, a prześliczny, poważny język Kochanowskiego, słyszany ze sceny, wydał się dopiero w całej swej świetności, czystości i harmonii, z porywającym urokiem. Część muzyczna przedstawienia składała się przeważnie także z utworów Kochanowskiego. Po polonezie Karola Kurpińskiego i oddeklamowaniu wiersza, odśpiewano jeden z psalmów i tren dziesiąty, na głos solowy, tudzież kilka psalmów chóralnie, i wygłoszono poety wiersz do biskupa Myszkowskiego. Zakończył przedstawienie obraz układu Karola Młodnickiego przedstawiający Kochanowskiego przyjmującego w Czarnolesie odwiedzin hetmana Zamojskiego. Układ był pięknie pomysły, tylko kostiumy bardzo szwankowały i zepsuły wrażenie obrazu. Szkoda, bo chwila była dobrze dobrana, a ugnupowanie stosowne. Przed staropolskim dworcem, ocienionym historyczną lipą, Kochanowski otoczony rodziną, z Urszulką obok niego ciekawie spoglądającą na orszak przybywających gości, witał otwartemi ramionami i pełnym godności ukłonem Hetmana Zamojskiego, którego znowu otaczał orszak rycerski. Obie grupy naprzeciw siebie umieszczone, stanowiące urozmaicony, pełen malowniczości kontrast, tworzyły piękną całość artystyczną i obraz byłby mógł świetnie się wydać, gdyby akcesorya dekoracyjne były zadaniu swemu odpowiadały.

Władysław Zawadzki.

Tom II-gi dzieła pod tytułem :

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEWER. PRUSZAKOWĄ

WYSZEDŁ Z DRUKU

Cena dla prenumeratorów „Bluszczu“

w Warszawie kop. 50; z przesyłką kop. 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: *Widmo szczęścia*; oraz arkuś 1-szy powieści pod tyt.: *Natchnienie i Miłość*.

TREŚĆ. Wielkanocne zaranie, poezya, przez M. I.— Samouctwo, (dalszy ciąg), przez Floryana Łagowskiego.— Któs, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 4 Апрель 1884 года.